

Koszmary Szoriji

14 sierpnia 2011

Leżąca stosunkowo niedaleko zagłębia Kuzbasu i ciesząca się nieskalaną przyrodą Szorija stanowi coraz popularniejszy region turystyczny. Na malowniczych pejzażach cieniem kładzie się jednak zła sława uroczyska o nazwie Dharkan, które uznawane jest za miejsce przeklęte. Ci, którzy się tam zapuścili mówią o koszmarnych doznaniach. Inni w ogóle stamtąd nie wrócili a uczeni mają na to bardzo oryginalne wyjaśnienie...

Górna Szorija (Горная Шория) zajmuje południową część Obwodu Kemerowskiego, położonej na Zachodniej Syberii jednostki administracyjnej Federacji Rosyjskiej. Tubylczą ludnością tej krainy są Szorowie, nieliczny naród pochodzenia tureckiego, spokrewniony z Ojrotami, kultywujący swoje specyficzne tradycje. Z roku na rok wyrastają w Szoriji nowe obiekty turystyczne, przede wszystkim hotele dla narciarzy, których tu wciąż przybywa. Lokalne trasy zjazdowe, wprawdzie niezbyt długie, wyróżniają się wielką malowniczością. Choć bowiem Szorija znajduje się stosunkowo blisko Kuzbasu, największego zagłębia górniczego w Rosji, liczne źródła i rzeki są tutaj krystalicznie, powietrze nadzwyczajnie czyste i rześkie, a nieskażona natura sprawia, że w jej otoczeniu można zapomnieć o wszelkich strapieniach, jakie niesie cywilizacja. Jak szum wody i szelest liści, jak śpiew tajgi dźwięczą szorskie nazwy: Temirtau, Tasztagoł, Szeregesz, Szałym.

Ten sielankowy obraz mącą jednak wieści dobiegające z najbardziej niedostępnych zakątków Szoriji. Mówią one o niewytłumaczalnych i zatrważających zjawiskach, które rzadko wszak opisywane są ze szczegółami. Czasami doniesienia te na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie pospolitej kaczkii dziennikarskiej. W marcu 2006 roku lokalną prasę obiegły wzmianki o przerażeniu, jakie ogarnęło kilku zbieraczy brzoźowego soku w górach południowo-wschodniej Szoriji. Z drzew trysnęła gęsta, ciemnoczerwona ciecz, która wyglądała

jak krew. Ale w kilku mało uczęszczanych rejonach Szoriji zachodzą wypadki nieporównanie bardziej dramatyczne. Ilość tych zdarzeń w ostatnim czasie wzrosła. Miejsc, które wolno uznać za ośrodki „zaburzeń rzeczywistości”, jest w szorskich lasach przynajmniej pięć. Wszystkie wyróżnia uczucie przynębienia, któremu poddaje się każdy, kto zapuści się w te najdziksze ostępy Szorii.

Szczególnie posępne wrażenie czynią okolice uroczyska Dharkan, leżącego w pobliżu źródła rzeki Mrassu. Tutaj przyroda, tak dotąd wspaniała, pokazuje się z najgorszej strony. Omszałe skały i zwalone pnie, podobne do kości olbrzymów, zagradzają drogę, a nierozważna próba ich obejścia może skończyć się pochłonięciem przez wciąż nienasycone bagno. Dziwaczne, pokryte ohydny szarawym liszajem drzewa stoją gęsto, panuje wśród nich wieczny półmrok. Czasami pnie są niepokojąco poskręcane, przyroda zdaje się tu ulegać jakiejś złowrogiej, chorobliwej mocy. Zwierzęta, w które obfituje Szorija, unikają Dharkanu. W języku ojrockim nazwa ta znaczy „Martwa krew”. Nikt o zdrowych zmysłach nie odważy się choćby zbliżyć do uroczyska. Z wielkim prawdopodobieństwem można założyć, że po niezbyt długim czasie spędzonym w tym miejscu nawet wiedźma z lasu Blair dostałaby gęsiej skórki.

Od dawna miejsce to otoczone było bardzo złą sławą. Najdziwniejsze jest to, że nikt z tubylców nie potrafi wyjaśnić, dlaczego tak jest. Niektórzy powiadają, iż tam właśnie odprawiali tajemne rytuały szamani dawno zaginionego ludu. Najczęściej jednak miejscowi mówią: – Uroczysko Darkhan jest niedobre. Tak było zawsze. Lepiej tam nie chodzić”.

Pośród mieszkańców Górnej Szoriji krążą przerażające opowieści o tym, co spotkało śmiałków, którzy zapuścili się na rubież Dharkanu. O ile jednak w wioskach położonych najbliżej uroczyska budzi ono paniczny lęk, a mieszkańcy Adyaksy, Bugzasu czy Kantusa bardzo niechętnie wymieniają tę przekłętą nazwę, o tyle w miejscowościach bardziej oddalonych opowiada się „legendy Górnej Szoriji” z przymrużeniem oka; w odległym o

150 kilometrów Nowokuźniecku owe szorskie bajdy wywołują najczęściej sceptyczne uśmiechy.

Oczywiście wyłącznie u kogoś, kto nigdy nie znalazł się w tej części szorskich gór, gdzie bierze swój początek rzeka Mrassu.

– Późną wiosną 2004 roku wybrałem się z trójką przyjaciół na wędrowkę po południowych rejonach Szorii – opowiada Gleb Jaszyn, mieszkaniec Nowokuźniecka. – Gdy po kilku dniach dotarliśmy nad bezimienny potok, jeden z lewych dopływów górnej Mrassu, nieoczekiwanie Sasza oznajmił, że dalej nie idzie. Wymawiał się bólem brzucha, ale nie brzmiało to przekonująco. Zawrócił, a razem z nim poszedł Locha. Dotarli do Nowokuźniecka bez przygód. Ruszyłem w dalszą wędrowkę z Iwanem: zabłądziliśmy, mijaliśmy po drodze przedziwne miejsca, wolę o nich nie mówić. Nie pamiętam zresztą tego zbyt dobrze, byłem jak w letargu. W pewnym momencie Iwan został w tyle, lecz nie zwoleń kroku – coś pchało mnie na przód. Gdy na dobre rozłączyłem się z moim towarzyszem, wyszedłem na skraj dużej polany. Po jej przeciwnej ujrzałem czerwono-szarą ścianę uschniętego lasu i naraz poczułem, że coś mnie obserwuje. Nie była to jedna czy też kilka par oczu spoglądających z ukrycia spoza drzew: miałem wrażenie, że ten las i jego otoczenie patrzają na mnie jakby całą swoją powierzchnią, poczułem się niczym pyłek na czyimś oku. To było coś niesamowitego, nie potrafię tego w ogóle opisać. Może to głupie, ale padłem na kolana, wprost w trawę i, nie spuszczając wzroku z tego, co znajdowało się przede mną, zacząłem, ciągle na kolanach, powoli wycofywać się. Dopiero wtedy, gdy poczułem, że jestem już bezpieczny, zerwałem się na równe nogi i uciekłem. Za żadne pieniądze więcej tam nie wrócę. Jaszyn miał sporo szczęścia. Iwan Bukin, który wraz z nim włóczył się nieopodal uroczyska, przepadł bez wieści.

Jaszyn z tego powodu był nawet podejrzewany o popełnienie przestępstwa, ale ostatecznie zwolniono go z braku dowodów. Prowadzone niemrawo i w ograniczonym zakresie poszukiwania Bukina nie dały rezultatów.

Z niepojętym i budzącym strach oddziaływanie Dharkanu najczęściej stykają się pracownicy leśni oraz myśliwi, oni to bowiem najczęściej zbliżają się do tego fatalnego punktu. Jeden z drwali opowiadał, jak kiedyś zabrał bukłak z wodą, a gdy go otworzył (rzecz jasna w odpowiednim, jak przypuszczałem, oddaleniu od uroczyska), naczynie było pełne długich czerwonych robaków.

Leśnik Dierewiannow z Adyaksy podczas obchodu zaczepił połą fufajki o kolczasty krzew. – Ale kiedy odwróciłem się, to wcale nie był krzak – opowiada zaciskając z emocji pięści, choć od tamtej chwili minęło już pięć lat. – Widziałem wyraźnie, jak zaroślach znika łapa jakiegoś wielkiego drapieżnego zwierzęcia. Właściwie wyglądało to tak, jakby część krzewu zamieniła się na moment w olbrzymiego czerwonego kota – takiego nigdy w życiu nie widziałem – a potem, zanim zdążyłem dobrze się obejrzeć, wróciła do dawnej postaci. Dopiero w domu okazało się, że zdrapania były bardzo głębokie. Przecięły fufajkę, spodnie i moją skórę. Rany bardzo źle się goiły, do tej pory mam na nodze cztery długie szramy.

Jesienią ubiegłego roku wstrząsająca przygoda stała się udziałem Innokientija Trojegubowa, myśliwego z wioski Kamzas. Oto jego opowieść:

– Zapуściłem się kiedyś w stronę uroczyska Dharkan w pościgu za rannym łosiem. Jestem wprawnym myśliwym i byłem przekonany, że oddałem śmiertelny strzał. Zdarza się jednak często, iż nawet celnie trafione zwierzę rzuca się do ucieczki, aby paść po kilkudziesięciu lub stu metrach. Ten byk był potężny i silny; później uświadomiłem sobie, że musiałem tropić przez ponad dwadzieścia kilometrów, ale wtedy, podniecony łowami, nie zważałem na to, nie zwracałem również uwagi na kierunek, w jakim umykał rogacz. Ślad pozostawiał po sobie wyraźny – czerwona farba obficie znaczyła ściółkę i krzewy. Krwi było mnóstwo, tu i ówdzie utworzyła ona spore kałuże, ale ani razu nie dostrzegłem tropionego łosia. Gdybym pomyślał, zorientowałbym się, że coś jest nie tak – zwierzę broczyło

bardzo obficie i musiałyby stracić chyba kilkadziesiąt wiader krwi, aby było jej tyle, ile napotkałem. Ale coś dziwnego stało się z moim umysłem, ścigałem łosia, a jednocześnie jakby zapadłem w sen. Wreszcie odnalazłem swoją zdobycz. Łoś leżał w wysokiej trawie i nie od razu zauważyłem, co jest z nim nie w porządku. Dopiero kiedy pochyliłem się, zobaczyłem to: łoś, rzeczywiście bardzo dorodny, był jeszcze ciepły, ale jego głowa... Pozostała z niej tylko czaszka, żółtawej kości nie pokrywał nawet strzępek mięsa. Nie wiem dlaczego, ale nie zdziwiło mnie to; sięgnąłem po nóż, aby obelić łosia i w tej samej chwili straciłem przytomność. Zapadłem w bardzo głęboki sen, śniłem jakiś koszmar, nie pamiętam nic, ale to było coś okropnego. Obudziłem się niespodziewanie; leżałem na wznak i twarz miałem skierowaną ku niebu. Ujrzałem, jak zbierają się tuż nade mną olbrzymie czerwone chmury, które nagle przybrały formy gigantycznych ludzkich twarzy. Były to oblicza zmarłych osób, które kiedyś znałem. Wykrzywiała je wściekłość, otwierały i zamykały usta coś krzycząc, ale niczego nie słyszałem. Było ich coraz więcej, nadciągały spoza horyzontu jak obłoki gnane wichrem; zbliżały się do mnie. Poczułem lodowaty lęk, lecz zdołałem zerwać się z ziemi. Biegłem przez las, wpadając na kępy zarośli i drzewa; nie zwracałem uwagi na ból, nie oglądałem się za siebie. Wreszcie ocknąłem się na znajomej polanie, nieodległej od mojej wioski. Spojrzałem w stronę uroczyska – niebo nad nim było zaciągnięte purpurowymi chmurami, które wirowały w szalonym tempie. Prześwietlała je niesamowita poświata, taki rodzaj światła chyba nie istnieje na naszej planecie. Z trudem oderwałem oczy od tego widowiska i potwornie wyczerpany dowlokłem się do domu.

Stan myśliwego był tak ciężki, że odwieziono go do rejonowego szpitala w Mieźdureczińsku. Tam jeden z lekarzy spisał relację pacjenta o tym, czego doświadczył on na Dharkanie, a nazajutrz stwierdził zgon Innokientija Trojegubowa, czterdziestolatka, który nigdy nie skarżył się na żadne dolegliwości. Przyczyny śmierci nie udało się ustalić.

Koszmarne zjawiska występujące na szorskim uroczysku próbowali badać naukowcy z uniwersytetu w Nowokuźniecku. Ostatecznie jednak nie doszło do zorganizowania wyprawy naukowej w rejon Dharkanu. Oficjalnie jako przyczynę rezygnacji z badań polowych podano brak funduszy.

– Nie mam pojęcia, co dzieje się w tych lasach – rozkłada bezradnie ręce Albert Władimirow, pracownik wydziału przyrodniczego nowokuźnieckiej uczelni. – Wiem, że to nienajlepsza rekomendacja dla naukowca, ale prywatnie mówiąc, wcale nie jestem ciekaw, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi.

Naukowcy ograniczyli się tylko do wysunięcia paru hipotez. Jedna z nich mówi o unikalnych halucynogennych właściwościach środowiska biologicznego Dharkanu. Gazy wywołujące omamy mogą uwalniać się podczas rozkładu pewnych gatunków roślin. Inna wersja wspomina o anomalii magnetycznej – jest to o tyle uzasadnione, że region kuźniecki posiada, jak sama nazwa wskazuje, bogate złoża rud. Ale hipotezy te wyjaśniają jedynie niewielką część wypadków, jakie zdarzały się w Górnej Szoriji.

Autor: Wojciech Grzelak

Źródło: [Infra](#)

NOTA BIOGRAFICZNA

Wojciech Grzelak (ur. 1961), z wykształcenia filolog, wykonywał różne zawody. Autor wielu reportaży, artykułów naukowych i popularnonaukowych, a także opowiadań o rozmaitej tematyce. Publikuje w prasie polskiej, rosyjskiej, amerykańskiej i niemieckiej. Tłumaczy poezję, układa antologie wierszy, pisze również książeczki dla dzieci. Od 2001 roku dzieli swoje życie pomiędzy Beskidy i Ałtaj (Zachodnia Syberia), gdzie wykłada na uniwersytecie w Gornoałtajsku i angażuje się w sprawy syberyjskiej Polonii. Jego artykuł o ałtajskim Ałmysie wydrukowany na łamach „Nieznanego Świata” został uznany za publikację roku 2004. Za umacnianie wielopłaszczyznowych związków pomiędzy Polską i Syberią władze

rosyjskie i organizacje biznesowe w Polsce nagrodziły autora licznymi wyróżnieniami; otrzymał m.in. statuetkę „Ambasador Polski”. Dużo podróżuje po Azji, najczęściej samochodem. Pan Wojciech prowadzi także w Radiu Wolne Media audycję „Z Ałtaju widać więcej” poświęconą tajemnicom Rosji.